

Kiedy ludzie dowiadują się, czym się zajmuję, zaraz zaczynają pytać o najstraszniejszy przypadek przemocy wobec dziecka, z jakim miałam do czynienia. Nieważne, czy jestem na grillu u znajomych, na imprezie sylwestrowej, w poczekalni u dentysty, czy na meczu bejsbolowym drużyny mojego męża. „Tyle się napatrzysz” – mówią, kręcąc głowami, i empatycznie ściągając usta, jakbym to ja była osobą, którą bito, przypalano papierosem, oblewano strumieniami nienawistnych słów. Oczywiście nie opowiadam szczegółów o moich podopiecznych i ich rodzinach. Dzieciom, które pojawiają się na mojej orbicie odebrano już tyle, że jedyne, co mogę zrobić, to uszanować ich prywatność. „No – nalegają – opowiedz coś. Nie jest wesoło, prawda?”. Jakbym machała im przed oczami jakąś soczystą plotką. Jakbym milczała, dlatego że nie chcę obrazić ich wrażliwych uszu, wstrząsnąć ich idealnym światem, w którym dzieci dotyka się delikatnie, mówi do nich z czułością i kołysze do snu po sytej kolacji.

– Zamknij oczy – powiedziałam kiedyś do matki jednego z zawodników bejsbolowych i zrobiła to od

razu, niemal drżąc w oczekiwaniu na krwawe szczegóły. Skinęła posłusznie, przechylając głowę w moją stronę, szykując się na to, co zaraz jej wyjawię. Czy opowiem jej o Mariah Crane, siedmiolatce, którą matka trzymała pod wodą, aż nie było szans, by uszkodzony mózg dziewczynki mógł kiedykolwiek dogonić rozwój jej ciała? Czy może o bliźniakach? Wszyscy słyszeli o „sprawie bliźniaków”, jak nadal się ją nazywa. Wszyscy chcą wiedzieć o nich jak najwięcej.

– Teraz wyobraź sobie najpodlejsze rzeczy, jakie można zrobić drugiemu człowiekowi. – Pozwalam jej się przez chwilę zastanowić i widzę, jak po jej twarzy przebiega delikatny grymas obrzydzenia. – To właśnie widziałam. – Kobieta otwiera oczy, by sprawdzić, czy coś jeszcze dodam. Ale ja nie mam jej nic więcej do powiedzenia.

Jedynymi osobami, z którymi rozmawiam o „sprawie bliźniaków” są mój mąż i Joe Gaddey. Byłam wtedy świeżo upieczonym opiekunem socjalnym, tuż po studiach, i na nowo wprowadziłam się do mojej rodzinnej miejscowości, Cedar City, po Des Moines drugiego co do wielkości miasta w stanie Iowa, z populacją stu dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy mieszkańców. Mój mąż przeniósł się do Cedar City, by uczyć historii w liceum i trenować drużynę bejsbolową, sam zresztą wychował się

w małym miasteczku o nazwie Broken Branch w Iowa, gdzie wszyscy są rodziną, jeśli nie przez więzy krwi, to przez małżeństwo. Poznaliśmy się przez wspólnych znajomych i kiedy w końcu się pobraliśmy, byliśmy gotowi zmieniać świat. Wreszcie zaczęłam walczyć o to, by świat, w którym pracuję, nie zmienił mnie.

Adam i ja jeszcze się nie znaliśmy, kiedy przydzielono mnie do mojej pierwszej sprawy, która dotyczyła pary sześciolletnich bliźniaków, pięcioletniej dziewczynki, ich matki, ojca i kija bejsbolowego. Tylko jeden z chłopców przeżył. Rodzina nie była obca systemowi opieki społecznej. Odziedziczyłam tę sprawę po moim poprzedniku i przyjechałam do domu rodziny na pierwszą z umówionych wizyt w tym samym czasie, kiedy ratownicy medyczni wynosili pierwsze nosze. Przed drzwiami stał funkcjonariusz Joe Gaddey. Podeszłam do niego oszołomiona.

– Kim pani jest? – zapytał. Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, mogłam na niego tylko patrzeć. Błądząc wzrokiem po konturach jego potężnej sylwetki, starałam się zajrzeć do domu. W środku powitał mnie okropny widok. Zatoczyłam się i chwyciłam rękaw policjanta, by się nie przewrócić.

– Hola – powiedział, pomagając mi odzyskać równowagę. – Nie chce pani na to patrzeć.

– Jestem ich opiekunem socjalnym – powiedziałam cienkim głosem. – Co im się przytrafiło?

– Ich ojciec – odparł wtedy Joe cierpkim tonem, który z upływem lat zaczęłam bardzo doceniać. Przełknęłam zółć, która podeszła mi do gardła, starając się nie wymiotować. Wiedziałam, że ten zawód jest trudny, że rozdziera serce, ale nic – nic – nie było w stanie mnie na to przygotować. Czułam na sobie wzrok policjanta. Był naprawdę wielki. Ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć kilogramów mięśni. Sześćdziesięcioletniej o dziecięcej buzi i ciętym języku.

– Da sobie pani radę? – zapytał. Staliśmy tak przez chwilę. Kiwałam głową w górę i w dół jak piesek przy tylnej szybie samochodu, a policjant stał przy mnie w niezręcznym milczeniu. – Powinna pani zadzwonić do swoich przełożonych – powiedział w końcu, kiedy przez próg wyniesiono drugie, trzecie i czwarte nosze z czarnymi workami na zwłoki, z których dwa były dziecięcego rozmiaru.

– Chyba tak – odparłam, nadal kiwając głową.

Dzień po dniu, w tomach służbowych dokumentów, na niekończących się spotkaniach, podczas zeznań w sądzie rejestruję okropieństwa wyrządzane dzieciom. Już rzadko kiedy rozmawiam z mężem o moich podopiecznych. Widzi, jaki miałam dzień, po mojej minie, po tym, jak bezwładnie wiszą mi

ramiona i tym, jak szybko sięgam po butelkę pinot grigio zarezerwowaną specjalnie na trudniejsze momenty. Adam rozumie, że nie chcę o tym mówić i delikatnie zabiera mi z rąk kieliszek, wkładając w nie naszą jedenastomiesięczną córeczkę. Avery obejmuje mnie wtedy za szyję swoimi pulchnymi rączkami i dociska swoje różowe jak płatki kwiatów usteczka do mojego policzka, aż czuję jej pachnący jabłkami oddech. Kiedy tylko pojawiają się w drzwiach, tak bardzo cieszy się na mój widok, jakby było Boże Narodzenie, jej urodziny i czwarty lipca jednocześnie. Powinno to być moim pokrzepieniem i jest, ale widzę tę samą rozkosz na twarzach dzieci, z którymi pracuję, a które właśnie wracają do mamy albo do taty. Tych samych, którzy wcześniej bili je tak mocno, że poluzowały im się zęby albo chwyтали je tak gwałtownie, że połamali im kości. Widzę w Avery tę samą iskierkę, co w oczach takich dzieci, ten sam nagły i radosny uśmiech. Wiedziałam, że do mnie wrócisz – mówią ich buzie. Wiem, jakie mechanizmy za tym stoją, dlaczego maltretowane dziecko biegnie w ramiona oprawcy, i smuci mnie to.

Jest jedna sprawa, o której już nie mówię, sprawa, o której nie potrafię rozmawiać ani z Adamem, ani z Joem. Wiedziałam, że ta sprawa skończy się źle, czułam to w kościach, kiedy tylko weszłam do tamtego domu, i się nie pomyliłam.

Madalyn Olmstead nie miała łatwego życia. Urodziła się w szpitalu w Cedar City sześć lat temu i pierwsze dziesięć dni życia spędziła na noworodkowym oddziale intensywnej terapii ze względu na problemy z oddychaniem. Zaangażowałam się w sprawę, kiedy dziewczynka miała roczek. Pielęgniarka środowiskowa zadzwoniła do mojego przełożonego w Wydziale Służb Społecznych i zapytała, czy ktoś mógłby zająć się Madalyn i jej mamą. Sprawę przekazano mnie. Kiedy zapytałam o szczegóły, pielęgniarka zaczęła mówić ogólnikami.

– Madalyn powinna używać nebulizatora pompowego ze względu na astmę, ale jej matka z trudem zapamiętuje to, co do niej mówię. Wydaje mi się, że może mieć problemy z czytaniem, ale kiedy pokaże się jej, jak coś robić, szybko się uczy. Zdaje się dobrze sobie radzić z córką. – Pielęgniarka zamilkła na chwilę. – Szczerze mówiąc, to jej mąż mnie martwi. Kiedy pojawia się w domu, to jakby nagle zaczynało brakować tlenu. Matka dziewczynki robi się spięta i cała jej uwaga od razu skupia się na nim. A on zachowuje się jak zazdrośny braciszek. Madalyn go nie interesuje i tylko narzeka na to, ile to czasu żona poświęca dziecku. Wydaje się, że kobieta boi się go. Nie może pani po prostu tam pojechać i sprawdzić? Byłabym spokojniejsza.

Jako opiekun socjalny miałam obowiązek podjąć odpowiednie kroki, chociaż po słowach pielęgniarki nie wydawało mi się, bym miała natknąć się na cokolwiek, co wymagałoby reakcji z mojej strony. Ojciec wiedziałby przynajmniej, że ktoś zwraca uwagę na to, jak traktuje żonę i córkę. Trzy lata później dziewczynka już nie żyła, a ja wiedziałam, że zabił ją James Olmstead i nie poniósł za to kary.

Najczęściej myślę o Madalyn o świcie. Dzień i noc oddzielają się od siebie warstwą fioletu. Ma słodkie, jeszcze nie w pełni ukształtowane, dziecięce rysy twarzy, błyszczące szare oczy, osadzone głęboko nad okrągłymi, różowymi policzkami. Biorąc pod uwagę to, w jakim stanie ją znaleziono, nie była to najbardziej makabryczna śmierć z możliwych – jej ciało szpeciła tylko odrobina krwi i kilka siniaków. To te ukryte, wewnętrzne obrażenia były przyczyną śmierci. Mimo wszystko, krótkie bytowanie Madalyn na ziemi rozpoczęło się gwałtownym wypchnięciem jej z łona matki w zimne, bezlitosne powietrze i zakończyło się równie gwałtownie. Nie dało się tylko tego udowodnić. Byłam jednak przekonana, że stało się inaczej, niż powszechnie uznano i myślę, że matka dziewczynki uważała podobnie, choć była zbyt zaślepiona i przerażona, by powiedzieć to głośno.

Kiedy budzę się w te poranki, gdy pod kołdrę do mnie i mojego chrapiącego męża dołączają wspomnienia

o Madalyn, a moje dzieci śpią smacznie w swoich pokojach, raz za razem, bez ustanku próbuję dojść, jak to możliwe, że jej ojcu, Jamesowi Olmsteadowi, ta zbrodnia uszła na sucho.

Przez lata co jakiś czas pojawiałam się w domu Olmsteadów z powodu podejrzewanej przemocy domowej ze strony ojca. Ich sąsiedzi wzywali policję z powodu głośnych awantur, jakie odbywały się w domu. Madalyn dwa razy musiała być stamtąd zabrana, bo ojciec brutalnie pobił matkę. W obu przypadkach kobieta nie wniosła oskarżenia. Dwa razy Madalyn wróciła do domu. Ona też miała różne rany, ale zwykle takie, jakie mają wszystkie dzieci – obdarte kolana, posiniaczone łokcie, fioletowe guzy na czole. Wszystkie wytłumaczone przez jej matkę w ten sam sposób:

– Straszna z niej wiercipięta. Ma pani dzieci, prawda?

Miała rację, rzeczywiście mam dzieci. Tuż przed śmiercią Madalyn Lucas miał cztery lata, a Leah siedem i nosili takie same siniaki. Ale my, pracownicy socjalni, wiemy. Wiemy, w którym domu mieszkają narkomani i pijacy, drapieżcy, zwyrodnialcy. Nie jesteśmy tylko w stanie zawsze tego udowodnić.

Dwa lata temu, w piękne majowe popołudnie, Madalyn Olmstead wypadła z okna na trzecim



piętrze. Jedyłą osobą, która przebywała wtedy w mieszkaniu, był jej ojciec.

– Spuściłem ją z oka tylko na chwilę – twierdził. – Myślała, że umie latać – powiedział przekonująco przed kamerami reporterów. Podczas autopsji, poza śmiertelnym urazem głowy, biegły zauważył pewne podejrzané sińce na ciele dziewczynki, ale nie na tyle, by rozważyć morderstwo. Ojca Madalyn aresztowano za narażenie dziecka na utratę życia, za co mógł zostać skazany nawet na pięćdziesiąt lat więzienia.

Choć byłam pewna, że to nie wypadek, wtedy zadowolili mnie sam fakt, że James Olmstead stanął przed sądem z lżejszymi zarzutami, i usatysfakcjonowałyby mnie, gdyby tylko trafił do więzienia. Przygotowywałam się do zeznawania przeciw niemu. Nieustannie przeglądałam dokumentację z moich wizyt w domu Olmsteadów, trenowałam opisywanie obrażeń, jakie widziałam na matce Madalyn, podejrzaných siniaków, jakie zauważałam na dziewczynce. Ława przysięgłych nigdy nie usłyszała moich zeznań. Wprowadzenie przez prokuratora wcześniejszych dowodów przewinień oskarżonego do materiału dowodowego potrafi być bardzo problematyczne, a w tym wypadku sędzia uznał, że to mogłoby uprzedzić ławę przysięgłych. Naszą jedyną nadzieją było to, że obrona stworzy nam możliwość,

wprowadzając do materiału dowodowego zeznania świadczące o tym, że charakter Jamesa jest zupełnie odmienny od tego, o co go oskarżano, że byłby niezdolny do skrzywdzenia córki. Wtedy moglibyśmy zaprzeczyć. Obrona nie ułatwiła nam jednak zadania i nie wychwalała moralnego kręgosłupa Jamesa, nie przesłuchała jego żony, współpracowników z fabryki ani też rodziców dzieci, które trenował w Bejsbolowej Lidze Szkrabów. Nie przesłuchała też samego Jamesa Olmsteada. W rezultacie przysięgli nie usłyszeli o jego haniebnych uczynkach. Został uniewinniony. „Zbyt dużo luk w materiale dowodowym” – powiedział reprezentant ławy przysięgłych po zakończonym procesie.

Trzy miesiące później James i jego żona pozwali właściciela budynku, w którym znajdowało się ich mieszkanie, o nieodpowiednie zabezpieczenie siatkowych ekranów w oknach. Wygrali spore odszkodowanie, co przypieczętowało tylko ich rolę ofiar w całym zdarzeniu.

Ja jednak wiedziałam, że James pobił swoją córkę i spanikował. Podświadomie czułam, że upozorował sytuację tak, jakby sama wdrapała się na parapet, wypadła przez ekran i wylądowała na chodniku dwa piętra niżej. Madalyn była bardzo strachliwym dzieckiem. Bała się wody, psów, obcych i najprawdopodobniej miała też lęk wysokości. Nie było takiej

możliwości, by dziewczynka sama wdrapała się na parapet i wypchnęła ekran swoimi małymi rączkami. W czasie, który z nią spędziłam, ani razu nie powiedziała mi, że chciałyby być ptakiem albo chciałyby latać. Jedyne, czego byłam pewna, to tego, że Madalyn boi się swojego ojca.

Wiele miesięcy po zakończeniu procesu nikt, ani moja przełożona Carmen, ani Joe, ani nawet mój mąż nie chcieli słuchać tyrad na temat moich podejrzeń.

– Czy biegły nie powiedział, że jej obrażenia pasowały do nieszczęśliwego wypadku? – zapytał Adam, kiedy po raz milionowy zaczęłam wygłaszać moje wątpliwości. Próbowałam wyjaśnić, że biegły był w tamtym czasie przeładowany robotą, a ma reputację takiego, który lubi pójść na łatwiznę. Adam nie był mi przychylny.

– Ellen – powiedział – zadrezczasz się. Musisz przestać się martwić tym dzieckiem. Jesteś chyba jedyną, która się nim przejmuje.

Brak zainteresowania ze strony Adama trochę mnie drażnił, ale lekceważenie ze strony Carmen i Joego naprawdę bolało. Zarówno w opiece socjalnej, jak i pracy policji często polega się nie tylko na faktach – czasem to instynktowne przeczucie skłania nas do działania. Myślałam, że wysłuchają moich wątpliwości i poprą propozycję rozpoczęcia nowego,

dogłębnego dochodzenia w sprawie śmierci Madalyn. Byli pełni zrozumienia, wydawali z siebie odpowiednie westchnienia i pomrukiwania, kiedy przedstawiałam im swoje argumenty, ale ostatecznie powiedzieli, że są zadowoleni z wyroku ławy przysięgłych, a ja muszę dać sobie spokój.

Wreszcie zostaliśmy we troje: mężczyzna, który uniknął kary za morderstwo, kobieta, która zdecydowała się go chronić, i ja, pracownica opieki społecznej, bezsilnie próbująca chronić czteroletnią dziewczynkę imieniem Madalyn Olmstead, która na zawsze pozostanie „Ptaszyną – dziewczynką, która myślała, że umie latać”.